

KOŚCIÓŁ SEKT?

Etymologia słowa „sekta” jest dość interesująca. Pokazuje ona, że nie chodzi o negatywne określenie grupy, która odcięła się od większej całości, niszcząc jej jedność, jak gdyby słowo „sekta” pochodziło od łacińskiego *secare*, z którego wywodzą się „secesja” czy „sekcja”. Jeśli mamy rzeczywiście do czynienia z oderwaniem, to właściwym określeniem jest „schizma”, od greckiego *skhizma* lub *skhizein*. Ale najprawdopodobniej „sekta” wywodzi się z łacińskiego *sequi*, co oznacza „iść za kims”. Ścisłej rzecz biorąc, słowo to służy do określenia ogółu wiernych skupionych wokół jakiegoś „mistrza”, czy adeptów jakiejś szczególnej doktryny. W tych warunkach, zanim potępimy *a priori* każdą sektę jako miejsce nietolerancji, trzeba zastanowić się, w jakim stopniu definicja ta mogłaby odnosić się do samego Kościoła.

Czy Kościół jest sektą?

Zjawisko sekt nie jest z pewnością obce chrześcijaństwu. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że tkwi ono w samej jego istocie. Czym był Kościół pierwotny? W pewnym sensie niczym więcej jak „odrzuconą sektą żydowską”. Takie pytanie odważył się w każdym razie zadać Henri Cazelles¹, którego nie można bynajmniej podejrzewać o zwykłą prowokację. W istocie, chrześcijanami są ci, którzy idą” za Chrystusem. Wiara w Jego boskość i w Jego zmartwychwstanie nie upoważnia do przekreślenia jedyne go i wyjątkowego charakteru, ani historycznych korzeni Jezusa z Nazaretu. Co więcej, Ewangelia jasno mówi: aby „pójść za Jezusem”, trzeba „zaprzecić się samego siebie i wziąć swój krzyż” (Mt 16, 24; 10, 38 oraz synoptyczne odpowiedniki u innych). W oczach świata, który odrzuca szaleństwo Męki, uczniowie Ukrzyżowanego są nadal sektą — przynajmniej tak długo, jak długo opierają się pokusie uczynienia ze swego Kościoła odpowiednio zakorzenionej religii narodowej (trzeba będzie do tego powrócić).

Rozumie się jednak samo przez się, że ci, którzy „idą” za Chrystusem, powołani są do stworzenia nie jakiegoś jednego ludu

1 H. Cazelles, *Naissance de l'Eglise, secte juive rejetée?* Paris 1968.

uprzywilejowanego w porównaniu do innych, ale nowej zbawionej ludzkości. Dobra Nowina adresowana jest do każdego człowieka. W Liście do Efezjan św. Paweł rozciąga nawet na całe stworzenie „zjednoczenie na nowo” wszystkiego w Synu (1, 10). Zjednoczenie to nie jest wyłącznie kwestią przyszłości: ono się już zaczęło. Tak jak Żydzi, również ochrzczeni poganie „dostąpili udziału” (1, 11-14), z pewnością nie po to, by wprowadzić kolejny rozłam w obrębie ludzkiego gatunku, ale aby otrzymać obiecanie zjednoczenie, a nawet być jego „zadatkami”.

Już rzeczywista, choć jeszcze niecałkowita, wspólnota ta jest czymś paradoksalnym. Może nawet przypominać sektę, gorzej — zlepek sekt, z których żadna nie da sprowadzić się do pozostałych. Różnice pojawiają się najpierw pomiędzy Żydami i chrześcijanami². Ale zróżnicowanie występuje także wśród chrześcijan, którzy jednoczą się z Chrystusem przez różnego rodzaju pośrednictwa. „Idą” za pośrednikami, aby „pójść” za Jezusem, idą, za nimi, razem z nimi. Obfitość wspólnot, szkół, rodzin duchowych i teologicznych jest tego najlepszym świadectwem. Dzielą one poprzecznie ziemię podzieloną już i tak na diecezje, których biskupi zjednoczeni są z Biskupem Rzymu, gdzie ma swą siedzibę następca Piotra, wybranego przez samego Chrystusa na przywódcę Apostołów (wysłanników — posłanych).

Katolicyzm, oparty na posłudze papieża, nie ma nic z ujednoczającej centralizacji. Nie ogranicza się on do biernego tolerowania pluralizmu podejść i odgałęzień, zakonów i ruchów. Albowiem rodzi on tę różnorodność w przestrzeni i czasie. Jedność nie jest rezultatem federacji sekt, ale darem Bożym, który poprzedza i wzbudza odpowiednie, zróżnicowane sposoby jego przyjmowania. Wystarczy odesłać tu do artykułu programowego Hansa-Ursa von Balthasara, zamieszczonego na początku pierwszego numeru każdego wydania *Communio*³.

Ku Kościołowi podzielonemu na sekty?

W historii zdarzało się oczywiście, że „sekty” odcinały się od jedyne Kościoła. Albo też, że — gdy ich założyciele, tacy jak np. Ariusz czy Nestoriusz, wyznawali heterodoksyjne doktryny — herezja była przyczyną trudnych do przewyciężenia schizm. Były

² Por. M. Sales, *Le Corps de l'Eglise* (seria *Communio*), Paris 1990.

³ Hans-Urs von Balthasar, *Un programme: Communio*, cytowany w: *Tables et index, 1975—1985* wydania francuskojęzycznego. Por. także *Anniversaires*, w *Communio*, X, 5-6 (wrzesień—grudzień 1985), wydanie francuskojęzyczne, s. 55—61. — W wersji polskiej: nr 1—2 z 1981 r.

też powody bardziej polityczne i związane z konkretnymi okolicznościami, tak jak w przypadku zerwania pomiędzy Wschodem i Zachodem w roku 1054, zerwania może nie nieodwracalnego, nawet jeśli czas uwypukla różnice.

Jedno oderwanie stanowiło wyjątkowo decydujące wydarzenie w historii chrześcijaństwa: chodzi o Reformę. Można powiedzieć, że zniszczyła ona w sposób trwały kruchą równowagę, która przez piętnaście wieków zdołała się utrzymać mimo nieuniknionych starć pomiędzy wspólnotą i wyjątkowością, charakterystycznymi — jedna i druga — dla życia chrześcijańskiego. Punkt ciężkości został w pewnym sensie przesunięty w kierunku cech charakterystycznych dla sekty, oddalając się jednocześnie od wymogów widocznej już jedności „Ludu Bożego”.

Oczywiście, nie chodzi tu w żadnym wypadku o wytoczenie (lub powtórzenie) procesu Reformatorom, w postaci bezcelowych i niesprawiedliwych polemik. Można i trzeba przyznać, że ich celem nie było rozbicie Kościoła na sekty. Taki był niemniej jeden z efektów Reformy. Zerwanie z Rzymem nie doprowadziło do narodzin nowego, konkurencyjnego Kościoła, ale do pomnożenia chrześcijańskich grup, o bardzo zróżnicowanym zasięgu, od światowej „wspólnoty” Kościołów narodowych (bardziej lub mniej zakorzenionych i większościowych) po wspólnotę lokalną, poprzez regionalne lub międzynarodowe federacje.

Tak więc jeśli istnieje nie jeden, ale wiele protestantyzmów, dzieje się tak niewątpliwie dlatego, że eklezjologia Lutera i Kalwina uzasadniała w pewnym sensie ten rozpad. Nie ma potrzeby tego udowadniać⁴: jeśli się utrzymuje, że jedyny prawdziwy Kościół jest niewidzialny, zjednoczony jedynie wiarą swych wiernych, wyciąga się z tego logiczny wniosek, że niepotrzebny jest jeden Kościół widzialny. Charakter chrześcijaństwa, który można nazwać „sekciarskim” (w sensie etymologicznym), jest w ten sposób usankcjonowany, a nawet uprzywilejowany. Pośrednictwa niezbędne, aby „pójść za Jezusem”, nie muszą się już znajdować na końcu nieprzerwanego łańcucha zaczynającego się od tych, którzy jako pierwsi „poszli” za Nim. Współczesna historia i geografia wiary mogą wówczas zostać pominięte na rzecz namacalnej bliskości.

Zasada ta jest niepodważalna. W istocie, najważniejsze jest bez wątpienia „pójście za Jezusem”, nie zaś za papieżem czy przewodnikiem duchowym, którzy są jedynie „pośrednikami”.

⁴ Por. analizę i teksty cytowane jako przykład przez G. Bedouelle w: J. Loew i M. Meslin, *Histoire de l'Eglise*, Paris 1978, s. 263—268.

Aby pójść śladami Chrystusa i wziąć Jego Krzyż, każdy idzie drogą, która jest mu dana. I lepiej żeby była ona tak prosta jak to tylko jest możliwe. Dlaczego miałyby być konieczne korzystanie ze wszystkich „objazdów” (czasami przypadkowych) w przestrzeni i czasie? Jedność wszystkich wierzących urzeczywistnia się na płaszczyźnie mistycznej, dzięki łasce Bożej, nie zaś z ich woli czy z powodu istniejących oznak zewnętrznych.

Próby przywrócenia równowagi

Reformatorzy pozostawali tym niemniej świadomi wszystkiego tego, co ten punkt widzenia — chociaż słuszny — ma w sobie niebezpiecznie jednostronne. Tak więc nigdy nie głosili, że wystarczy „iść za Jezusem” z kimkolwiek i tak, jak się może i chce. Nigdy nie przyjęli do wiadomości, że Kościół rozkłada się dosłownie na nieskończenie wiele niekontrolowanych sekt. Byli zbyt przywiązani do czystości i autorytetu Pisma św. oraz doktryny, a także zbyt przekonani o bezsilności człowieka-grzesznika pozostawionego samemu sobie, by tolerować religijny indywidualizm, który mógł doprowadzić do powstania jedynie małych grup anarchicznych, gdzie osobowość lidera musi nieuchronnie nabrać większego bezpośredniego znaczenia niż osoba Chrystusa. W takich przypadkach pośrednik staje się, w równym stopniu jak Rzym, jeżeli nie bardziej, przeszkodą w „pójściu za Jezusem”. Luter, Kalwin i ich następcy zwalczali więc bezustannie bardziej radykalnych reformatorów i starali się tworzyć Kościoły widzialne, instytucje uznane, zakorzenione i chronione przez władze cywilne, które w zamian za to popierały.

Próby te podejmowane były na różnych szczeblach i z różnym powodzeniem. Ogólnie rzecz biorąc, Kościoły państwowe na północy Europy (Anglia, Szkocja, Dania, Szwecja) oparły się temu lepiej niż stare Kościoły Europy niemieckojęzycznej czy Nowego Świata (Kalwin w Genewie, Bucer w Strasburgu, Zwingli w Zurychu, angielscy dysydenci w Massachusetts, itd.). Aby odpowiedzieć na niezaprzeczalną potrzebę stworzenia przynajmniej ludu (z braku powszechnej wspólnoty, której osiągnięcie odsunięte zostało w mistyczne zaświaty) i aby uniknąć popadnięcia w marginalizację, Kościoły reformowane często wiązały się ze strukturami politycznymi.

To rozwiązanie polegające na współzależności państwa niebieskiego i państwa ziemskiego skusiło także łacińskich katolików i prawosławnych, którzy pragnęli wyeliminować ryzyko sprowadzenia Kościoła do mało znaczącej roli sekty. To wyjście było

równie kuszące dla książąt pragnących usankcjonować swą władzę (gallikanizm we Francji, józefinizm w Austrii, Rosji, itd.). Ale wszystkie te wysiłki skończyły się fiaskiem. Autorytet ustanowionych Kościołów państw-narodów osłabł z powodu procesu zewszeczenia⁵. A przede wszystkim, żadna z tych prób przywrócenia równowagi życia chrześcijańskiego przez stworzenie ludu, nie przeszkodziła w mnożeniu się sekt.

Ku niepohamowanej „sektaryzacji”?

Zinstytucjonalizowanemu protestantyzmowi nie udało się zapobiec schizmom w Europie: purytanie w Anglii, anabaptyści, mennonici i inni bracia morawscy w Europie centralnej i północnej. Ale najwyraźniejsza jest sytuacja panująca w Ameryce. Istnieje tam prawdziwa mozaika religijna i każda grupa może określić się w stosunku do innych jako sekta, poprzez bezpośrednie odwoływanie się do pośredniczącej instancji: są ludzie, którzy poszli za Lutrem, są wierni Kalwinowi (sami podzieleni na rywalizujące ze sobą frakcje), adeptci formuły anglikańskiej, zwolennicy takiego czy innego odnowiciela... I pole pozostaje otwarte, praktycznie i teoretycznie bez ograniczeń, dla tworzenia i secesji.

Nawet jeśli nie było to celem pierwotnych Reformatorów, którym chodziło jedynie o odnowę Kościoła w jego pierwotnej czystości, bez naruszania jego jedności, jest rzeczą jasną, że stworzyli oni podstawy nieskończonej sektaryzacji. „Pierwiastki negatywne” wzięły w Reformie górę nad „pierwiastkami pozytywnymi”, żeby posłużyć się analizą Louisa Bouyera⁶. W tym przypadku, owo zachwianie równowagi z powodu akcentu kładzonego na mistyczną rzeczywistość Kościoła, ze szkodą dla jego najwyraźniej uniwersalnego aspektu, nie mogło zostać naprawione przez nietrwałe przymierza z instytucjami politycznymi. A doktryna każdego Reformatora dążyła do zastąpienia prawdziwego powrotu do źródeł. Usprawiedliwiło to pozornie nieodwracalny proces „sektaryzacji”: od XVIII wieku, nawet kolejne „przebudzenia”, zrodzone z „pierwiastków pozytywnych”, nie mogą być zawsze przyjęte przez istniejące sekty i prowadzą wówczas do nowych podziałów.

Stworzenie Ekumenicznej Rady Kościołów w XX wieku stanowi jedynie częściową odpowiedź na problem, jaki stwarza to

⁵ Protestantyzm prawdopodobnie (choć nieumyślnie) popchnął do tego, tworząc podstawy nowożytnego pluralizmu. Zob. także moją *Généalogie du pluralisme*, *Communio* 8 (1983) nr 2, s. 46—59.

⁶ *Du protestantisme à l'Eglise*, Paris 1955.

rozproszenie. Instancja ta pozwala oczywiście uwypuklić wszystko to, co pozostaje wspólne ponad różnicami. Jest to potrzebą, która pozostaje nieodparta, podczas gdy nadzieja ożywiana jest bardziej konkretną jednością, jaką może być jedynie dar Boży. Ale każdy Kościół (lub sekta chrześcijańska?) zachowuje swą całkowitą autonomię. I to roszczenie wydaje się również nieodparte. Wspólnota jest więc przejściowo sprowadzona do najmniejszego wspólnego mianownika wynegocjowanych kompromisów.

Czas sekt

Ze swym zaciekłym przywiązaniem do ciągłości i spójności, ujętych w strukturę i zinstytucjonalizowanych w przestrzeni i czasie, Kościół rzymskokatolicki wydaje się być w zasadzie zabezpieczony przed „sektaryzacją”, jakiej doznają Kościoły protestanckie. Jednak obecny rozwój tendencji z „antyrzymskimi roszczeniami” dotyczącymi autonomii kulturalnej, dyscyplinarnej, bądź intelektualnej, może grozić „protestantyzacją” do tego stopnia, że czymś zwykłym staje się mówienie o ekumenizmie pomiędzy „sektami” katolickimi.

Powyższe rozważania miały wykazać, że nie chodzi tu o dechrystianizację, ale o pokusę nieodłącznie związaną z samą wiarą w Syna Bożego, zrodzonego z Maryi Dziewicy, zmarłego i zmartwychwstałego. Napięcie jest rzeczywiście nieuniknione i nie powoduje rozłamu tak długo, jak długo równoważy go uzupełniający biegun. Nie jest to biegun władzy centralnej, suwerennej i głuchej. Albowiem posługa jedności, sprawowana przez Biskupa Rzymu, oznacza raczej, że wierni Chrystusa nie są powołani do tworzenia sekty czy federacji sekt, ani nawet do dostarczenia ludowi lub ludom religii narodowej, ale do stanowienia jedyne go Ludu jedyne go prawdziwego Boga, ludzkości odrodzonej przez swe wcielenie się w Syna. Jeśli proces ten jest już nieodwracalnie zapoczątkowany, jedność wszystkich członków Ciała Chrystusa nie może i nie powinna być mniej wyraźna niż jedność każdego z Chrystusem. Czas sekt to jeszcze czas Krzyża. A czas papieżstwa to czas już urzeczywistnionej eschatologii.

tłum. Małgorzata Tryc-Ostrowska